

BOGUSŁAW WOLNIEWICZ

Z ANTROPOLOGII TADEUSZA KOTARBIŃSKIEGO

T. Kotarbiński: *Myśli o ludziach i ludzkich sprawach* (pod redakcją Janiny Kotarbińskiej). Wrocław, Ossolineum i Wydział Nauk Społecznych PAN, 1986, XXIII+ 346 s.

Na tom *Myśli o ludziach i ludzkich sprawach* składają się głównie drobne pisma Profesora Tadeusza Kotarbińskiego, rozsiane po wielu czasopismach i często trudno dostępne, a stąd i mało znane. Jest ich w sumie dziewięćdziesiąt, a są pośród nich wspomnienia o ludziach i zdarzeniach, wypowiedzi okolicznościowe, recenzje, wywiady. Jest też parę rzeczy dobrze znanych i słynnych: rozważania *O idei wolności* z 1936 roku, przedrukowane potem dwukrotnie w krytycznych latach 1956 i 1968; pamiętne *Wspominki o Stefanie Czarnowskim* z 1947 roku; i nade wszystko przejmująca zawsze siłą i trafnością swego wyrazu medytacja *Po zgonie Władysława Weryhy*, jeden z monumentów całej naszej literatury.

Szata edytorska tomu jest zadziwiająco licha: marna broszurka, oprawiona byle jak w szary papier. Tak się Kotarbińskiego w Polsce nie wydaje, a już zwłaszcza nie w setną rocznicę urodzin. Wstyd to po prostu i tyle.

W omawianym tomie przewija się oczywiście wiele różnych wątków myślowych. Nie będziemy ich tu ani streszczać, ani nawet wyliczać, lecz wybierzemy jeden, mało dotąd omawiany w literaturze. Jest nim antropologia filozoficzna Kotarbińskiego.

Przez „antropologię filozoficzną” rozumiemy wszelki pogląd ogólny na naturę ludzką i życie ludzkie, czyli na tkwiące w człowieku potencje i nieuchronności, a także na sposób, w jaki się te potencje faktycznie w świecie manifestują, a nieuchronności — przebijają. Antropologii takich jest oczywiście wiele.

Stanowisko antropologiczne Kotarbińskiego było jasne jak słońce, zarazem jednak było ono wielce sporne, choć sam Profesor za takie go chyba nie miał. Można je ująć tak: człowiek jest w gruncie rze-

czy istotą dobrej woli. Wprawdzie życie ludzkie jest jednym pasmem udręki, ale nie natura ludzka temu winna. Winę za taki stan rzeczy — jeżeli o „winie” można tu w ogóle mówić — ponoszą po części siły przyrody o których ślepe prawa rozbijają się w proch najlepsze ludzkie chęci i dążenia; po części zaś nierozumne urządzenia społeczne, przeciwstawiające sobie ludzi wzajemnie i rodzące w nich przez to wzajemny strach. Pamiętam, jak w 1968 roku, w związku z ówczesnymi wydarzeniami politycznymi, zapytałem Profesora czy nie sądzi, że jedną ze stałych cech natury ludzkiej jest ksenofobia. *Nie ksenofobia* — odpowiedział mi na to — *tylko strach. Myśli się sobie: obcy — więc może niebezpieczny.* Tak więc strach i nierozum składają się na błędny kołowrót, gdzie nierozum rodzi strach, a strach potęguje z kolei nierozum; i wiodą ludzi i ludzkość z nieszczęścia w nieszczęście, jak gdyby nie dość im było tych nieszczęść, o które troszczy się sama przyroda.

Oto kilka cytatów z omawianego tomu dobrze ilustrujących to stanowisko. W wypowiedzi radiowej z 1961 roku Kotarbiński mówi: *Jeśli najpotężniejsze dziś mocarstwa zbroją się przeciw sobie, to nie z chęci szkodenia bliźnim zza oceanu, tylko z obawy przed możliwym z ich strony niszczycielskim napadem. Obie strony zbroją się ze strachu, mimo że każda z nich wołałaby zaniechać zbrojeń i zająć się wyłącznie pozytywnym budownictwem dobrobytu. Paradoks w tym, że obie strony boją się przeciwnika słusznie, mimo że ten zbroi się nie za podszeptem szatana agresji, lecz ze strachu właśnie. (...) Sprawa pokoju wymaga tedy odwołania się do danych rozumu. Trzeba przekonać się wzajem obiektywną argumentacją, że się nie zamierza napadać* (s. 121—122). To samo czytamy w artykule zatytułowanym *Antynomie zasadnicze* z 1973 roku: *Ludzie na ogół pragną pokoju, ale w rzeczywistości walczą ze sobą w różnych miejscach globu na śmierć i życie. Dzieje się tak z obawy przed napaścią lub zaborem, zwłaszcza ze strony sąsiadów. Główną trudność w próbach zaniechania walki stanowi względna racjonalność tej obawy: ponieważ dotychczasowe doświadczenie poucza, że sąsiad napadał, gdy wyczuwał bezbronność* (s. 146—147). Z tychże powodów Kotarbiński sprzeciwiał się pogładowi Russela na te sprawy, reprezentującemu inną antropologię. We wspomnieniu pośmiertnym o nim z 1970 roku pisze: *Mniemał (on), że główne przeszkody na drodze do pomyślnego bytu tkwią teraz w samych ludziach, nie poza nimi, w świecie zewnętrznym, jak dawniej bywało. Siłę rozstrzygającą widział w motywacji przeciętnych uczestników mas ludzkich i przeważną sprawczynią zła upatrywał w nienawiści. Czy jednak nie jest prawdą, że istoty żywe w ogóle, a ludzie w szczególności, stałe tkwią w sieci najrozmaitszych sytuacji przymusowych i porywają się do wałk morderczych pod wpływem lęku: boją się, że jeżeli nie zadadzą ciosów, to ciosom ulegną. Bo nie ufają — i słusznie nie ufają —*

otoczeniu, gdyż doświadczenie dziejowe do tej nieufności nakłania w sposób przekonywujący. (...) A jeśli tak, to problem zasadniczy nie polega przede wszystkim na walce z nienawiścią (...), lecz streszcza się w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: (...) jak przekonać tych, od których decyzje zależą (...), że obawa przed cudzym ciosem nie ma uzasadnienia (s. 297). Nie tylko zresztą napastliwość ludzka tłumaczy się strachem, lecz także inne ciemne strony natury ludzkiej. Tak ma być na przykład z jej kłamliwością: *Grzechem przeciwko prawdzie bywa zakłamanie. A kłamie się głównie ze strachu* (s. 123).

Widać wyraźnie, że antropologia Kotarbińskiego wywodzi się w prostej linii z ideologii Oświecenia. Jest to antropologia optymistycznego racjonalizmu — optymistycznego nie co do warunków ludzkiego bytowania na Ziemi, lecz co do przyrodzonych skłonności gatunku *homo sapiens*. Zło w człowieku jest tylko błędem rozumu, nie żadnym „podszeptem szatana”; usuńcie ten błąd, a zniknie owo zło. Antropologia ta jest więc *meliorystyczna* w tym sensie, że dopuszcza, iż naturę ludzką można naprawić, „zmeliorować”, i to ludzkimi siłami.

Co za taką meliorystyczną antropologią przemawia? Przecież nie doświadczenie, które zresztą sam Kotarbiński tu wyklucza. Doświadczenie mówi bowiem jednoznacznie coś wręcz przeciwnego, a mianowicie to, co według Tycydydesa — przytaczanego tu w wersji Wata, nie Kumanieckiego — mieli rzec Melijczykom Ateńscy: *Bogowie, wedle naszego osądu, i ludzie, sądząc z naszej znajomości faktów, dążą do dominacji wszędzie, gdzie ich siła ma przewagę — taka jest konieczność ich natury*. Dlaczego zatem umysły nawet tak trzeźwe jak Kotarbiński nie chcą tej konieczności przyjąć do wiadomości i żywią przekonania jawnie niezgodne z doświadczeniem? Odpowiedź nasuwa się nam tylko jedna. Przyjąć do wiadomości fakt zasadniczej i nieusuwalnej konfliktowości życia społecznego, to jak gdyby tę konfliktowość usankcjonować, pogodzić się z nią. W tradycji Oświeceniowej, do której należy Kotarbiński, melioryzm antropologiczny ma charakter postulatu praktycznego rozumu: może to nawet nieprawda, ale i tak trzeba w to wierzyć, bo inaczej jak żyć? Postulat taki odrzuca natomiast tradycja chrześcijańska z jej przeświadczeniem o skażeniu natury ludzkiej grzechem pierworodnym, w tym punkcie Kotarbińskiemu oczywiście jak najdalsza.

Melioryzm antropologiczny jest pewną wiarą. Tłumaczy on też pewne tezy Kotarbińskiego skądinąd trudno zrozumiałe, jak np. tę, że *rozmaitość języków lokalnych jest nie dobrodziejstwem, lecz klęską rodzaju ludzkiego*, i że *myślący patriota marzy o panowaniu na całym świecie wspólnego języka* (s. 150). Lingwistyczna unifikacja świata miałyby zapewne służyć przekształceniu ludzkości w ową *jednę uzgodnioną*

(s. 178), o której mowa u Kotarbińskiego w artykule *Przyroda pod władzą człowieka* z 1970 roku. Czyż jednak Grecy nie mówili wszyscy jednym językiem, i czy przeszkadzało to im w jakimkolwiek stopniu w prowadzeniu między sobą nieustannych wojen?

Kolizja melioryzmu z doświadczeniem musi prowadzić w nim do nie-spójności wewnętrznych. Tak np. z jednej strony *powstanie objętej wspólną naczelną myślą kierowniczą gospodarki światowej i zjednoczenie ludzkości we wspólne gospodarstwo* jawią się Autorowi jako ideał, jako pewien upragniony stan rzeczy. Z drugiej jednak trzeźwo powiada on, że *perspektywa rządu światowego jest zarazem perspektywą uniwersalnej tyranii*, i że *uwolnienie się od tyranii raz ustanowionej będzie coraz trudniejsze, zapewne po prostu niewykonalne* (s. 147). Dla czytelnika, który przeświadczeń owego melioryzmu nie podziela, jest z góry prawdopodobne, że nie da się go przekształcić w konsekwentną doktrynę. A utwierdza go w tym przekonaniu fakt, że i Kotarbińskiemu to się nie udało.